Zeszyt 19. Lwów dnia 10. Lipca 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA	WYCHODZI	W. MANIECKI
kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark.	dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca.	Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI."

(C. d.) Od tego czasu biedna dziewczyna nie wspomniala więcej o panu Rossowskim. Modląc się czekała... Nagle spotyka na swojej drodze Czudka, tego samego, który w podróży z Monachjum do Wiednia, tak przykre robił na niej wrażenie. Przypomniawszy go sobie jeszcze teraz, gdy przy oknie siedziała, zatrzęsła się jak w febrze, coś ją ziębiło, niepokoiło, przerażało. Co? Na to chyba Ten odpowie, kto jej dał duszę wybiegającą po za sferę zakreśloną okiem i rozumem... A jednak może źle zrobiła, że się go tak prędko pozbyła. Jeżeli kto, to on mógł jej najłatwiej powiedzieć, gdzie mieszka pan Rossowski i uwiadomić go o ich pobycie we Lwowie. Jako adwokat, dr. Czudek, musiał znać wielu młodych ludzi, a więc i Rossowskiego, lub którego z jego przyjaciół; chciała żałować, że adwokata grzeczniej nie przyjęła, ale przeczucie znowu jej powiedziało: Nie żałuj! Zatrzęsła się, głęboko westchnęła i głowę w zamyśleniu na piersi zwiesiła.

Tak zadumaną przed oknem zastał ojciec.

Pan Wybicki wszedł do pierwszego pokoju, odłożył kapelusz, postawił laskę w kącie i nie postrzeżony przez córkę, stanął za jej plecami. Tak była zbolała, tak w sobie zatopiona, że jego kroków niesłyszała.

— Wandziu! — przemówił.

Podniosła się szybko, trochę przestraszona, jakby głos ojca zbudził ją ze snu ciężkiego.

— Ah! ojczulek już wrócił — odpowiedziała wesołość udając — a ja tak się zamyślałam, że o kawie na śmierć zapomniałam. Musi już być późno?

— Bynajmniej! dopiero pół do szóstej.

Wandzia chciała wyjść do kuchni — ojciec ją zatrzymał.

— Jeżeli chcesz robić kawę, niepotrzeba... Sama jej nie lubisz, a ja jej dziś pić nie będę.

— Czemu? — zapytała ze zdziwieniem.

- Nie mam apetytu... głowa mnie trochę boli.

Zdziwienie ustąpiło miejsca zaniepokojeniu.

— Czy ojczulek nie chory, broń Boże! — przemówiła za rękę go biorąc i w oczy mu patrząc.

— Nie sądzę, chociaż nie wiem co mi jest... Głowa mnie boli, po kościach łamie, lecz to pewnie kataralne... rano padał deszcz i nogi przemoczyłem. Ale to nic, nic... wcześnie się położę i wypiję dwie szklanki gorącej lemoniady... Do rana minie!

Pan Wybicki, mówiąc to, chodził po pokoju z głową zwieszoną i córce w oczy nie patrzył. Ona zaś zbyt dobrze znała swego ojca, by nie wiedziała, że wcale co innego, nie katar, było przyczyną jego niedyspozycji. Ale o nic nie pytała. Chociaż w krótkiem swojem życiu nie mogła jeszcze zebrać wielu doświadczeń, tyle wiedziała, ze mężczyźni nie lubią wypytywań, które ich nudzą, męczą, a w końcu niecierpliwią. Stokroć lepiej poczekać, aż sami z tem wystąpią co im na sercu cięży. Wandzia, jak według zwyczaju, postanowiła czekać, dopóki ojciec sam nie zacznie się wynurzać. I nie czekała długo. Pan Wybicki przeszedł się jeszcze kilka razy po pokoju, potem stanął przed córką i tak przemówił:

— Wiesz co Wandeczko, mnie już cierpliwość całkiem opuściła. Chodzę, proszę, czekam; wszystko napróżno. Ten mnie odsyła do tamtego, tamten do owego, a każdy chce się jeno zbyć. Mój Boże! czyż tak trudno o kawałek chleba na

własnej ziemi? Jednym wyczytałem z oczu, że uważają mnie za starca zgrzybiałego, wątpią bym im się jeszcze na co przydał; drudzy, dowiedziawszy się, żem przed trzydziestu laty chodził na wojaczkę, boją się czy będę dość spokojnym; innym nie podoba się moje dobre szlachectwo, sami bowiem dopiero wczoraj zostali hrabiami i baronami, a spotkałem i takich, którzy oglądnąwszy mój ubiór porządny, wiele znacząco głową kręcili. Snać według ich mniemania każdy pracy potrzebujący, powinien jak żebrak wyglądać. A niegdyś w Londynie, gdym poszedł do murarza i oświadczył, że chcę cegły podawać, natychmiast dał mi zajęcie i ani spojrzał na mój ubior. A tu, tu wolą by człowiek umarł z głodu! Wiesz Wandeczko jak mój kraj kocham, jak do niego tęskniłem, a teraz prawie sobie wyrzucam, że tu powróciłem.

Starzec domówił tych słów z najgłębszą goryczą, zaciął usta, brwi zmarszczył i wzrok do okna podniósł. W oczach głęboko osadzonych i na pół już przygasłych, szkliły się dwie łzy. Na ich widok Wandzia zadrżała. Łza w oku mężczyzny i do tego starca, nie smuci lecz przeraża.

— Niech tatko nie żałuje, że do kraju wrócił — przemówiła nieśmiało — ludzie są przecie wszędzie jednacy, źli i dobrzy. Możeśmy zapóźno przyjechali... zapewne wszystkie miejsca są już obsadzone. Zresztą tatka nikt tu nie zna, a list polecający kuzynki pewnie nie wiele pomógł. W czasach teraźniejszych ludzie są bardzo ostrożni, niedowierzający...

— Mnie ufano w Londynie i nad Gangesem — ojciec przerwał.

— Powoli tatkowi i tu zaufają, ale wpierw muszą tatka bliżej poznać. Bóg łaskaw i nie zginiemy! Ot zaraz jutro pójdę do wszystkich pensjonatów i nie wątpię, że znajdę kilka lekcji. Umiem przecie po angielsku, francuzku, a i na fortepianie gram wcale nie źle.

— Gorzki to chleb! gorzki jak piołun! — przerwał ojciec.

— Wiem że nie słodki, lecz własny, zapracowany i niezawisły. Niech się tatko nie martwi... Ja czuję, że nie zginiemy, że nam lepiej będzie.

Pochwyciła rękę ojca i gorącemi okryła ją pocałunkami. On przycisnął jej głowę do piersi zbolałej.

— O ty mój aniele, — szepnął — w tobie odrodziła się twoja matka święta! Zawsze cicha, ufająca, pokorna!... Gdyby nie ty, moja córko, znienawidziłbym dziś świat cały, ale miłość twoja godzi mnie z ludźmi. Przebaczam im więc z serca i będę dalej czekał cierpliwie.

— O tak, tak — zawołała Wandzia przez łzy się uśmiechając — niech tatko ludziom nie złorzeczy, bo jakkolwiek wielu złych między nimi, ja ich dziś bardziej kocham niż dawniej... Może to przeczucie lepszej dla nas przyszłości. Przedewszystkiem błagam cię ojczulku, nie żałuj żeś do kraju wrócił. Ja już tak pokochałam te strony, że gdzie indziej żyć bym nie mogła.

Mówiąc to tuliła główkę do piersi ojca i rumieniec, jak lekki obłok, ożywił jej bladą twarzyczkę. Ojciec nie widział tego, ani się domyślał przyczyny, dla której jego córka tak gorąco te strony ukochała. Przyciskając ją do siebie, patrzył ciągle w okno, o którego szyby uderzały ostatnie promienie słońca zachodzącego.

VIII.

Dr. Mateusz Czudek nie długo czekał na wiadomości, których tak pragnął. Pisarze zrobili co mogli, dowiadując się, kiedy pan Stanisław Wybicki przyjechał do Lwowa, w jakim stanął hotelu i kiedy się wyprowadził do mieszkania prywatnego pod wysoki Zamek, wszakże najwięcej szczegółów zebrał w ciągu niespełna jednej doby sam faktor, o którym możnaby prawie powiedzieć, że był wszechwiedzącym. Zaglądnął on do policji i tam coś poszwargotał z urzędnikiem, utrzymującym spis wszystkich obcych, którzy do miasta przyjeżdżają; zawadził o meblarza, u którego p. Wybicki sprzęty kupował i wypożyczał; spotkał przypadkiem sługę naszych przyjaciół, gdy ta stojąc przy studni, konewki wodą napełniała i na poczekaniu tak ją umiał zająć, że wyśpiewała wszystko co wiedziała; nakoniec wstąpił nawet do właściciela kamieniczki, emerytowanego urzędnika, którego znał od lat kilku i znowu zasięgnął języka. Po drodze zajrzał ukradkiem do kuchni p. Wybickiego... To co przyniósł adwokatowi, da się streścić w słowach niewielu. Pan Stanisław Wybicki nie był bogaty. Straciwszy cały majątek, przyjechał do Lwowa aby starać się o posadę przy budowie kolei żelaznej. Wszakże mimo obietnic posadę nie otrzymał, co widząc córka, postanowiła udzielać nauki języków i gry na fortepianie. Dotąd znalazła ledwie jedną lekcję... Mimo widocznego niedostatku ojciec i córka są bardzo dumni (tak utrzymywał właściciel kamienicy) z nikim się nie wdają i o ile można sądzić, w najgorszym nawet razie nie przyjęli by od nikogo pomocy. Jeżeli mieszkania za drugie ćwierćrocze z góry nie zapłacą, gospodarz postanowił ich niezwłocznie na ulicę wyrzucić, w życiu bowiem miał już nie raz do czynienia ze szlachtą zbankrutowaną. Dmie się to niesłychanie, właściciela domu nie ma za boże stworzenie, a jak czynszu z góry nie zapłaci, to pewnie nikt go z nich nie wydusi, bo co temu zabierzesz, co nic nie ma. Nawet graty nie są ich własnością.

Usłyszawszy to adwokat, długo nie mógł wyjść ze zdziwienia, przyniesiono mu wiadomości,

których się nigdy nie spodziewał. I nie tylko się dziwił... on się także gniewał na siebie. Przecie im w drodze ongi nadskakiwał, jak by byli miljonerzy, a to nędzarze. Jak mógł się tak zawieść! Nie, tego zaiste nie mógł sobie przebaczyć, to było więcej niż lekkomyślnością, to było błędem. Po niejakim czasie zaczął się atoli uspokajać. Wszak to się działo na ziemi obcej, nie w kraju, mógł więc sam występować prywatnie, nie zaś urzędowo, jako adwokat i obrońca prawa, który wysokiej swojej godności nie powinien poniżać, przez zbytnią grzeczność dla tych, którzy jako słabi tej ziemi, wcale na nią nie zasługują. I jeszcze jedno pocieszało adwokata. Przecie on dla tego był tak grzecznym, że pan Wybicki jechał z córką, a chociaż dr. Czudek ani nie pochodził ze stanu rycerskiego, ani w charakterze swoim najmniejszej nie miał rycerskości, wmawiał teraz w siebie, że dla dam choćby najbiedniejszych, jest tak samo grzecznym jak ów monarcha, który podwiązki przypinał sobie do boku.

Chodził, dumał, często spluwał przez zęby, co u niego było objawem głębokiego zamyślenia, na wspomnienie o pannie Wandzi oblizywał się lubieżnie i znowu chodził i znowu dumał.

We drzwiach prowadzących do obszernego pokoju, w którym pisarze siedzieli, pojawił się najstarszy dependent z plikiem papierów w ręce.

— Czego pan chcesz? — zapytał adwokat krótko i sucho.

— Czy mam pójść zagrabić wdowę po woźnym?

— Spodziewam się! Dziwi mnie, że pan o to pytasz.

— Ona chora obłożnie...

— A co nas to obchodzi?

— Może byśmy kilka dni poczekali, aż jej się polepszy.

— Oto rozum! A tymczasem przyjdzie inny wierzyciel i nas uprzedzi.

— Dowiadywałem się proszę pana mecenasa — odważył się dependent jeszcze przemówić — i wiem, że prócz kwoty, którą myśmy zaskarzyli, ona nie ma innych długów. Taka biedna, nieszczęśliwa!

— Śliczny z pana będzie adwokat! — odparł dr. Czudek drwiąco i głosem syczącym. — Jakem poczciw prześliczny! Sentymentalny jak poeta, tkliwy jak amant teatralny. Adwokat mój panie nie może mieć serca, on bowiem jest stróżem prawa, a prawo nie wie jak serce wygląda. Sąd przyznał nam prawo grabieży, my więc pełnimy tylko wolę sądu i o resztę nie pytamy... my nawet nie wiemy, jakem poczciw nie wiemy, że wdowa jest chorą, bo wiedzieć nie potrzebujemy. To rzecz lekarza. My przecie nie ją będziemy grabić tylko ruchomości, które są zdrowe. *Pereat mundus*, *fiat justitia!*

Dependent stał zakłopotany; mecenas domyślił się, co chce powiedzieć.

— Jeżeli ta sprawa — rzekł — jest przykrą dla pańskiego serca sentymentalnego, więc poszlij pan z woźnym pana Franciszka. On ma nerwy silniejsze, to też jestem pewny, że z niego będzie dzielny adwokat.

Młody człowiek wyszedł zadowolony; adwokat zaczął znowu chodzić, znowu dumać, znowu pluć po posadzce woskowanej, którą zaścielał na środku wcale piękny kobierzec.

Cały tydzień dr. Czudek myślał o pannie Wandzi i jej ojcu. Dziwił się, że go ci biedni ludzie tak obchodzą i nie raz siebie zapytywał: Co mi z nich przyjść może? On dotąd nie pojmował, aby go mogli ci obchodzić, których znajomość nie zapewniała mu żadnych korzyści. W jego przekonaniu była to także sentymentalność.

W tym czasie widział pannę Wybickę trzy, czy cztery razy. Raz spotkał ją, gdy na mszę rano biegła do kościoła; ukłonił się zdaleka i ona odkłoniła się grzecznie choć chłodno. Drugi raz przypatrywał się jej przeszło kwadrans, gdy stojąc na ulicy Halickiej z jakąś staruszką rozmawiała, innym znowu razem widział ją biegnącą obok Wałów. Każdym razem wydawała mu się piękniejszą, coraz gorętsze budziło się w nim pragnienie zbliżenia się do niej i zawiązania ściślejszej znajomości.

Jeszcze jeden tydzień myślał i dumał, nareszcie sam się dowiedział czego pragnął. Oto postanowił starać się o rękę panny Wybickiej. Niech to nikogo nie dziwi. Dr. Czudek miał rozum i wiedział co czyni.

Jak długo był biedakiem, bez ciepłego odzienia i codzień bitym przez kolegów, wzdychał do lepszego bytu; później gdy ukończywszy nauki, wstąpił do biura adwokata wiedeńskiego, zapragnął majątku, aby pomiatać tymi, którzy ongi nim pomiatali; odkąd zaś przekonał się, że nikt tak prędko nie może przyjść do fortuny jak adwokat sprytny i odkąd w kasie jego leżało już kilkanaście tysięcy zarobionych w sprawach nie zbyt czystych, a dochód roczny wynosił stale od 8 do 10ciu tysięcy guldenów, co z biegiem czasu powinno się było podwoić, nawet potroić — odtąd zaczął marzyć o takim ożenku, który by mu zapewnił wybitniejsze stanowisko w społeczeństwie. Bądź co bądź był on ciągle Czudkiem, prostym Czudkiem, i nie jeden jeszcze pamiętał, że go niedawno „dudkiem“ nazywał. W kraju tak przejętym pojęciami szlacheckiemi jak Galicja, każdy radby być szlachcicem, aby się uważać z wszystkimi na równi. Widząc, że ani Paprocki ani Niesiecki, ani żaden z nowszych heraldyków Czudków u siebie nie pomieścił, po-

stanowił on to, co mu przez los zostało poskąpione, zdobyć wstępnym bojem. Nie jest szlachcicem, nie może nim zostać, więc się podszyje pod szlachectwo. Środkiem do tego celu prowadzącym, miało być stosowne małżeństwo. Jeżeli weźmie pannę z domu szlacheckiego, uda się z prośbą do cesarza, by mu pozwolił przezwać się Czudowskim, wypadki takie przecie często się zdarzają, a gdy już raz będzie się na *ski* kończył, zwycięstwo będzie po jego stronie. Powoli ludzie zapomną, że pan Czudowski był niegdyś prostym Czudkiem.

Taki plan ułożywszy, posunął z kolei do trzech panienek nie tylko dobrze urodzonych, lecz także bogatych, z początku bowiem sądził, że mu się powiedzie upiec na raz dwie pieczenie, to jest zdobyć pieniądz i imię. Gdy atoli od każdej z osobna dostał ogromnego harbuza, i gdy w czwartym domu, do którego się chciał zgłosić, bez ogródek kazano mu powiedzieć, by się nie trudził na próżno, dr. Czudek zamyślił się i zawahał. Widoczną było rzeczą, że panna z imieniem i bogata nie wyjdzie za niego. Tymczasem zaś ostatnie ślady młodości znikły bezpowrotnie, życie w stolicy państwa austrjackiego podkopało do reszty i tak wątłe siły, laseczka z jedwabnemi kutasikami nie dla samej tylko parady spoczywała ciągle w jego ręce i adwokat przyszedł do smutnego przekonania, że jak się teraz nie ożeni, to chyba nigdy. Za rok, dwa, chociaż nie miał jeszcze czterdziestki, sam się spodziewał, że już starcem będzie. Pod wpływem tego przekonania postanowił ożenić się choćby z najbiedniejszą, byle dobrze urodzoną! Gdy panna Wybicka nawinęła mu się przed oczy, po dłuższym namyśle powiedział sobie, że ta jedna byłaby stosowną dla niego partją. Bo nie tylko pochodziła z dobrej rodziny, nie tylko musiała mieć znakomite koligacje, które w jego karjerze nie mało znaczyły, ale od lat kilku ona pierwsza umiała w nim obudzić dawno przygłuszone pragnienia. Dr. Czudek łudził się nawet nadzieją, że przy takiej żonie, mógłby jeszcze odżyć, odmłodnieć.

Że panna Wybicka wyjdzie za niego, o tem chwili nie wątpił. Panienka biedna, mająca jeszcze ojca, który na swoje utrzymanie zapracować nie umie, nie odtrąci człowieka ze stanowiskiem i majątkiem! Błąd podobny mogłaby popełnić chyba pensjonarka lub chorobliwa marzycielka; panna Wanda natomiast z lat pensjonarskich już wyrosła, a marzycielstwa nie miała ani śladu w swojem usposobieniu. Dr. Czudek był na tyle psychologiem, by to poznać z samego twarzy wyrazu. Wprawdzie nie bardzo mu była rada, gdy przed kamienicą ją powitał, lecz czyż nie on sam temu winien? Przecie tak jak ona, była by postąpiła każda przyzwoita panienka z mężczyzną, który ośmielił się ją ścigać. Tak więc to, co go wówczas obraziło, wyszło teraz na korzyść panny Wybickiej.

Postanowił zatem starać się o nią, ale nie zaraz. Nauczony świeżem doświadczeniem, że pozory często mylą, powiedział sobie, że najpierw zrobi wizytę, rozglądnie się, wybada, i dopiero gdy nic takiego nie znajdzie, co by go czy to zniechęcało, czy odstręczało, wystąpi jako konkurent. O jej zdanie ciągle jeszcze nie pytał. Rzecz to zaiste godna zastanowienia, że im więcej człowiek wart, tem jest przyzwoitszy, tem skromniejszy, gdy przeciwnie ludzie mało warci są pełni zarozumiałości i cenią się niesłychanie. Juljan nie był pewnym, czy go panna Wanda pokocha; Czudek chwili o tem nie wątpił.

Jak postanowił, tak uczynił. Włożył frak, białą krawatkę i aby okazać, że nie są mu obce zwyczaje wyższego świata, nie o dwunastej w południe, jak to zwykli czynić mieszczanie, lecz o trzeciej z południa pojechał z wizytą do pana Wybickiego.

Pojawienie się dawnego towarzysza podróży, było dla ojca Wandzi miłą niespodzianką. Jeżeli kiedy, to teraz, potrzebował on kogoś, przed kim by się trochę wygadał, zwierzył, poskarżył; zresztą adwokat mógł mu także być pomocnym w jego usiłowaniach. Jeżeli kto, to człowiek, znający pół miasta, mający stosunki z kolejami, bankami i rozmaitemi zakładami, chcąc, mógłby mu wyszukać posadę odpowiednią. Pan Wybicki wszystko to sobie myślał, ale ani wspomniał o tem za pierwszem widzeniem. Zostawił to na później. Pierwsza wizyta nie była zbyt długa. Gospodarz przyjął gościa bardzo uprzejmie, podziękował za pamięć i w duchu zrobił sobie uwagę, że dr. Czudek zmienił się nadspodziewanie, teraz bowiem był poważniejszym i ani w połowie tak nie nadskakiwał jak ongi w wagonie. Wandzia nie mogła być niegrzeczną, lecz była zimną, przerażająco zimną. Adwokata wcale to nie zraziło. Pomówiwszy o rzeczach obojętnych, w pół godziny skończył wizytę. (C. d. n.)

SZERMIERZ PIÓRA.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(Dok.) Joanna wstecz się cofnęła, wpatrując się w niego ze zdziwieniem i przerażeniem. Na podobne przyjęcie swej propozycji nie była wcale przygotowaną. Henryk porwał ze stołu papiery, drąc je w kawałki z wściekłością.

— Tą nędzną jałmużną chciałaś się mnie pozbyć, narzucając mi z pieniądzmi razem twoją głęboką pogardę! Wiecznie tylko kupca we mnie widzieć chciałaś. Może być, że w pierwszej chwili, gdym się zbliżył do ciebie, było w tem pewne obrachowanie, jednak patrząc częściej na ciebie, Bóg mi świadkiem, żem zapomniał

o twoich dolarach, a myślał tylko o tobie! Kochałem cię Jenny, kochałem do szaleństwa! tem goręciej, im ty zimniejszą, niedostępniejszą okazywałaś się dla mnie. Wreszcie nadeszła chwila, gdy ten Francuz niebiesko-oki wszedł mi w drogę! Odtąd zacząłem was oboje nienawidzieć! O mojem z nim spotkaniu wiesz tyle tylko, ile ja ci sam powiedziałem; ani przeczuwasz co wtedy zaszło między nami. Tej nocy, kiedy twój brat umierał, mogłem zostać mordercą! Odmówił mi pojedynku — wściekły, zemstą dyszący za nim w góry podążyłem. Oto gdzie mnie zaprowadziło zimne kupca obrachowanie, o które mnie jedynie posądzałaś! W szale rozpaczy, gdy mu wydrzeć chciano najdroższy klejnot serca jego, kupiec ten stawiał na kartę bez namysłu życie, honor, przyszłość całą! O reszcie zapomniał. Oto, czem dla mnie byłaś Jenny! Czyś nakoniec zrozumiała, dla czego trzymam cię żelaznemi szpony? Wiem, że o szczęściu więcej marzyć nie mogę, wiem, że dom mój piekłem mi się odtąd stanie, lecz i to wiem, że żadne moce ziemskie rozdzielić cię z nim nie potrafią, jeżeli moje ramię was nie roztrąci. To ramię jednak znajdzie siłę po temu! Dowiedz się nawzajem, że gdybym miał poświęcić twój cały majątek, gdybym miał oddać moją własną fortunę aż do ostatniego dolara!... on cię swoją nie nazwie!

Depcząc po zdartych szczątkach fatalnych papierów, postąpił do okna pohamować szał uniesienia; drżał jeszcze cały, patrząc bezmyślnie przed siebie.

Joanna stała bez tchu, bez ruchu, w osłupieniu, struchlała, przerażona! Tak gwałtownej namiętności nie spodziewała się nigdy znaleźć w Alisonie. Pierwszy raz w życiu pokazał jej się w świetle właściwem, odczuła instynktem kobiecym, że to był jego charakter prawdziwy. Uczuła jednocześnie jak wielką krzywdę wyrządziła mu przed chwilą. Jednak mimo zawstydzenia, żalu i trwogi, błysnął jej w duszy promyk nadziei; wiedziała, że kobieta jest wszechwładną tam, gdzie jest tak kochaną.

Henryk odwrócił się nagle, uczuwszy lekkie dotknięcie na swojem ramieniu.

Joanna stała tuż obok niego. Zawziętość i pogarda ustąpiły z jej oblicza, postać jej cała straciła swoją sztywność, a wzrok spuściła ku ziemi, jakby w poczuciu winy popełnionej.

— Krzywdę ci wyrządziłam — cicho wyszeptała, a w głosie była jakby prośba o przebaczenie — nie myślałam, żebyś był zdolnym kochać.

Henryk w tył cofnął się niespokojnie. Coś go tknęło, przeczuł jakieś nowe dla siebie niebezpieczeństwo. Czoło też jeszcze w głębsze fałdy się zarysowało, rysy zrobiły się bardziej nieugięte, cała postać wyrażała gniew ponury, nieubłagany.

— Dość tych wyznań — rzekł prawie brutalnie. — Teraz żądam raz jeszcze miss Forest, żebyś dzień ślubu naszego wyznaczyła. Czekam na twoją odpowiedź i żądam jej natychmiast.

Joanna stała dalej nieruchoma, z oczyma spuszczonemi, wreszcie obie ręce na jego ramieniu złożyła.

— Harry!

Wstrząsł się i gniewnie do okna odwrócił.

— Okrutną była twoja pogróżka, okrutnym wybór, który mi jedynie zostawiłeś i którym chcesz mię zmusić do poddania się bezwarunkowego twojej woli. Życie jego, moja przyszłość i szczęście całe w twoim ręku jedynie. Harry! uwolnij Ludwika od słowa ci danego, a mnie wróć wolność.

Ruchem gwałtownym pozbył się Henryk rąk obu.

— Co znaczy ten ton niezwykły, Jenny? Czy myślisz mnie nim zwyciężyć? Czyś nic więcej ze słów moich nie wyrozumiała, jak tylko, że odegram teraz scenę wspaniałomyślną i sam cię oddam w jego objęcia? Ani słowa więcej, bo mogę zapomnieć z kim mówię!

Zakaz brzmiał dziko i groźnie, lecz Joanna nie dała się nim odstraszyć. Czuła i wiedziała, że mężczyzna gdy kocha prawdziwie, nie oprze się nigdy łzom kobiety ukochanej.

— Majątku mego nie śmiem ci więcej narzucać, a wszystko zresztą, co bym ci dać mogła, do innego należy. Nie mogłam niczego na tobie wywalczyć, niczem się wykupić, a więc błagam cię Harry, błagam na klęczkach dla mego i twego dobra — wróć mi wolność...

Istotnie na kolana się usunęła. Głos jej drżał od wzruszenia, była w nim prośba rzewna, gorąca, jakiej w życiu z tych ust niesłyszał; wielkie, ciemne, głębokie źrenice, całe we łzach skąpane wzniosła w górę i patrzyła mu w oczy z dziwną słodyczą. Cała jej postać była tak zmienioną, tak potulną, tak niepodobną do Jenny Forest, którą znał dotąd, że Alison w tej chwili dopiero uczuł prawdziwie, ile w niej traci.

— U moich nóg... Mógłbym być dumnym z tego tryumfu, gdybym nie wiedział, komu go zawdzięczam. Miss Forest była by raczej umarła, raczej zniosła życie pełne mąk i nędzy, niżby miała zniżyć się i wygłosić jedno słowo prośby! Tu jednak idzie o j e g o szczęście, o j e g o przyszłość! W takim razie można przyjąć na siebie najgorsze upokorzenie, a chociaż duma nasza krwawi się ran tysiącem, prosimy, błagamy, padamy nawet na kolana, czegobyśmy dla uratowania życia własnego nie byli dawniej uczynili! Nieprawdaż Jenny?

Ironia piekąca nie wywarła teraz wrażenia na Joannie. Odczuwała w niej gorycz i boleść bezmierną, która te słowa dyktowała. Mimo ponurego odmawiania i wzdragania się, czuła, że chwila zwycięstwa bliska, że serce jego mięknąć zaczyna.

— Prawda, — rzekła znowu cichutko, nie wstając z klęczek i nie odrywając od niego wzroku smutnego, łzawego.

Schylił się do niej i podniósł w górę, opasując jej kibić objęciem żelaznem, jakby chciał tę wiotką postać przykuć i związać na wieki ze sobą. Oczy Henryka płonęły dziką namiętnością, a pierś podnosiła się i opadała gwałtownie, jakby pęknąć miała, całkiem tak, jak w owej nocy jesiennej. Człowiek ten nie walczył w tej chwili z chęcią zemsty i nienawiści, gotowej posunąć się do morderstwa, on staczał walkę ostatnią z bolem śmiertelnym, niemym, całe jego jestestwo przenikającym.

Joanna zrozumiała tę walkę boleśną i nie miała więcej odwagi prosić, choć czuła, że jedno jej słowo rozstrzygnie

wszystko. Piękna jej główka usunęła mu się na ramię, tylko dwie grube, ciężkie łzy stoczyły się wolno po jej licach i spadły na rękę Henryka.

Nagle na czole i oczach uczuła usta jego gorące, drgające. Inny to był pocałunek, niż ten pierwszy, który niegdyś otrzymała. Zdało jej się, że czuje na sobie piętno żelaza rozpalonego. „Bądź zdrowa!“ — zabrzmiał głos głuchy, stłumiony — gdy oczy podniosła, Henryka nie było w pokoju.

XIII.

Wiosna! Słowo to samo w sobie zamyka czar niezwykły, a jednak rzecz szczególna, nie jednego melancholijnie usposabia, dziecinną tęsknotę w sercu budząc. Gdyby tak z naturą, która co wiosny nadzieją promienieje i nasze serca zbolałe odżyć mogły... Odszukać tych co ukochały... Czemuż nam tych drogich nic już nie odbudzi? Ani radośny głos skowronka, który bije wysoko, wysoko, pod stropy niebieskie, jakby chciał prędzej i łatwiej dostać się do Boga z swą ranną modlitwą, ani słodki spiew słowika, którego słuchamy co wiosny z nowym zachwytem. Czemuż gdy cała natura się cieszy, nam nie raz smutno i ciężko na sercu i łzy mimowoli do ócz się cisną? Nie wiem jak komu, w mojej duszy pierwsze dni wiosny zawsze podobnie smętne uczucie budzić zwykły.

Cała Francja witała wiosnę roku 1871 z sercem boleścią ściśniętem. Ileż ran miała zagoić, ile wspomnień zatrzeć w pamięci jej mieszkańców. Wiosna jednak była rozkoszną jak zwykle. Lasy wydawały wonie upajające, doliny pokryły się kobiercem szmaragdowym, z gór spadały z hukiem i szumem strumienie srebrzyste, podsycane topniejącemi na szczytach gór śniegami, nawet mury szare zwalisk tak nam dobrze znanych, wyglądały odświeżone, odmłodzone i mniej ponure. Mech był na nich zieleńszy, ze wszystkich szczelin kwiaty główki swoje różnobarwne wychylały; Loara toczyła u ich stóp swe fale majestatyczne, szemrząc z cicha. Czy o krwi bratniej szeptały jej fale, której tyle do morza zanieść musiały? Czy skarżyły się Bogu, że tak ciężko najezdca kraj ich skrzywdził? Aby ich mowę tajemniczą zrozumieć, trzeba było duszy poetycznej Servignego, a on dotąd w mieście L* się nie pokazał.

Mimo dnia prześlicznego dalsze okolice miasta L* były zupełnie puste, jak oko zasięgło nikogo widać nie było prócz jednej pary, złożonej z mężczyzny i kobiety, wchodzących powoli po stromej ścieżce, wiodącej ku ruinom zamku rycerskiego.

Czy przypadkiem, czy też z umysłu, dość że Joanna dziś po raz pierwszy zrzuciła grubą żałobę. Biała, powłóczysta suknia kaszmirowa, była jedynie przyozdobiona kilkoma kokardami z czarnego aksamitu, jednak tak uroczo obtulała w swe miękkie fałdy wiotką kibić Joanny, tak była stosowną w swej wspaniałej prostocie dla tej istnie królewskiej postaci, że nigdy może Joanna tak piękną nie była.

Razem z kirem żałobnym znikł z jej oblicza wyraz boleści ponurej, w której była przez całą zimę pogrążona. Zdawało się niekiedy, że rysy jej z tym wyrazem skamieniały i ożywić się już nigdy nie potrafią. Dziś i na jej dotąd martwem obliczu był jakby odblask rozkosznej wiosny, na jej czole świecił promyczek słabej, tęsknej nadziei. Jak pierwszy kwiat pierwiosnku trwożnie z pod śniegu główkę wychyla, niepewny co go przywita, czy ożywczy słońca pocałunek, czy też wiatr mroźny, niszczący jego młode życie, tak i Joanna tyle wycierpiawszy, z wielką li nieśmiałością oddawała się przeczuciom szczęścia i lepszej doli. W oczach i w całej postaci Joanny było coś, czego dotąd brakowało tej na wskróś dumnej, energicznej, piękności — wyraz tęsknoty, niepewności, słodyczy i łagodności czysto kobiecej.

Za to oblicze kroczącego obok niej pana Atkinsa było chmurniejszem niż zwyczajnie, jak gdyby poczytywał za osobistą obrazę tę cudowną krasę wiosenną, zewsząd go otaczającą. Patrzał na wszystko okiem gniewnem i ponurem. Nie pojmował tej wczesnej zieloności. Czemu jej też nie zwarzył silny przymrozek? Albo i to słońce, które już tak bezczelnie dopieka, jakby to był lipiec, nie koniec kwietnia! To przecież nie do zniesienia! Ta rzeka mrucząca pod nosem i tocząca tak spokojnie fale złociste jedną za drugą, nie jest że to rozpacz prawdziwa być zmuszonym patrzeć na nią wiecznie? Że też deszcz nie lunie jak z cebra i powietrza nie ochłodzi? Że też burza nie przerwie tej ciszy nieznośnej w całej naturze, która wyraźnie naigrawa się z jego złego humoru i usposobienia ponurego! Nie ma tu co robić na tej utrapionej ziemi francuzkiej, trzeba wracać jak najprędzej do ukochanej Ameryki.

Joanna nie wiele zważała na objawy złego humoru swego towarzysza, a gdy jakiś wybuch gwałtowniejszy nie mógł w żaden sposób ujść jej uwadze, przyjmowała go tym razem z łagodną wyrozumiałością. Wiedziała aż nadto dobrze, co było powodem tego rozdrażnienia niezwykłego. Gdy jednak znowu po raz setny zaczął stękać i narzekać na drogę uciążliwą, na upał nieznośny, odrzekła już z pewnem zniecierpliwieniem:

— Czemużeś pan w mieście nie został? Nie chciałam być przeszkodą wujostwu, którzy tak chętnie przyłączyli się do reszty mieszkańców, wychodzących za miasto dla powitania żołnierzy, przeważnie dzieci tutejszych. Zrozumiesz łatwo, jak boleśnem echem odbiłoby się to powitanie w mojem sercu, jak smutne wspomnienia w pamięci by wywołało. Dlatego też tu się schroniłam. Byłabym jednak jak tyle razy i sama tu trafiła.

Atkins skrzywił twarz niemiłosiernie.

— A czy myślisz, miss Jenny, że mnie ciągnie do miasta? Może znowu rozgniewasz się na mnie, muszę ci jednak powiedzieć, że jeżeli nigdy nie pojmowałem narodu francuzkiego, to teraz go już najmniej rozumiem! Zwyciężeni, zdeptani, Paryż w gruzach, dwie najlepsze prowincje odpadły, w perspektywie miliardy do płacenia, a oni jak gdyby nigdy nic! Skoro im zlazł wróg z karku, cieszą się nie wiedzieć czem, sypią konceptami z własnej biedy i przyjmują tych swoich bosych bohaterów, jakby Bóg wie czego dokazali. Niech mię Bóg skarze, jeżeli

to nie jest więcej jak niedorzecznością, jak lekkomyślnością nie do darowania.

Joanna uśmiechnęła się mimowoli na ten potok słów gniewnych i sarkastycznych zarazem, odzywając się ponownie z dziwną u niej łagodnością:

— Przyznaj pan raczej, że jest to dowodem hartu ducha francuzkiego, nieśmiertelnej, niezwyciężonej siły żywotnej mego narodu. Za pomocą tej dźwigni, którą panu podoba się nazwać lekkomyślnością, a którą ja nazywam ofiarnością i poczuciem własnej godności, ojczyzna moja wkrótce rany zabliźni, zatrze bolesne wspomnienia i zakwitnie na nowo, choć zmniejszona, ku zdumieniu całego świata i ku twojemu największemu zmartwieniu kochany panie Atkins. — Znowu figlarno-ironiczny uśmiech zaigrał na ustach Joanny.

— Nasza godność! Moja ojczyzna! — powtórzył Atkins niechętnie. — Zawsze zapominam, że nam cię miss Jenny Francja z duszą i ciałem zabrała, że tylko nią żyjesz, nią oddychasz i marzysz bezprzestannie o jej przyszłem zmartwychwstaniu! Mniejsza z tem! Może i to być jeszcze. Powiedz mi jednak, po co my tu właściwie wyleźli i jak długo myślisz patrzeć przed siebie? Słońce mało mi mózgu nie wypali, rzeka lśni się i połyskuje, że można zapalenia ócz dostać, a te stare, zmorszałe mury wyglądają zupełnie po temu, jakby chciały sobie zrobić tę przyjemność niezwykłą i zagrzebać nas nagle pod swojemi gruzami. Trzeba mieć się doprawdy na baczności.

Joanna nic nie odpowiedziała, pozwalając swemu towarzyszowi kłócić się do woli i wymyślać na słońce, na rzekę i na ruiny. Gdy już nic nie znalazł w swojem otoczeniu, coby na krytykę zasługiwało i na co by można gniew swój wywrzeć, pan Atkins usiadł obok Joanny u stóp ruin, chociaż miały się lada chwila zawalić.

— Czego mocno żałuję — twarz Atkinsa zadawała kłam słowom jego, wyrażając złośliwą radość, że tak, a nie inaczej się stało — czego żałuję, to że miasto L* będzie dziś pozbawione widoku swego bohatera głównego, swego pół-boga! pana Servignego. Istotnie z pułkiem nie przybędzie. Zwiędną wieńce poczciwego p. Etienne, któremi w pocie czoła obwieszał mieszkanie profesora, jakby nieprzymierzając kościół jaki, spełzną na niczem świetne przygotowania uniwersytetu, nawet mowy przygotowane gotowe wywietrzeć z głowy mowców, a przynajmniej stracić dzisiejsze àpropos. Istotnie kazus fatalny! Nie dziwiłbym się bynajmniej, gdybyśmy ujrzeli pewnego pięknego poranku naszego uczonego profesora, zakwaterowanego na nowo w swoim pokoju, za swojem biórkiem z piórem w ręku. Toż to by nosy pospuszczali mieszkańcy miasta L*! a to do tego bardzo możliwe. Niecierpi wszelkich owacji i tem podobnych komedji, w czem ma słuszność zupełną i za co go wielce szacuję. Jest to jeszcze jeden rozsądny Francuz, którego dotąd spotkałem i z którym mówić potrafiłem.

Atkins nadużywał cierpliwości i wybaczliwości miss Jenny w sposób niezwykły. Ośmielił się nawet wymówić nazwisko, które przez całą zimę między nimi wspomniane nie było, miał jednak ważne powody po temu. Uważał, że od jakiegoś czasu podziela w zupełności los państwa Etienne, że ukrywa przed nim wszelkie sprawy familijne i dopiero fakta dokonane podaje mu do wiadomości. To go niepomiernie irytowało. Chciałby był gwałtem zaczerpnąć wiadomości, co zaszło między Alisonem a Joanną, radby był w ogóle wiedzieć jak rzeczy stoją, a że nie chciał wprost pytać, użył więc tego wybiegu.

Na nic mu się on jednak nie przydał. Joanna wprawdzie spłonęła rumieńcem na wspomnienie Servignego, lecz dalej milczała. Samo wspomnienie nazwiska widocznie nie wystarczało. Atkins przedsięwziął jaśniej i wyraźniej zdążać do celu.

— W naszej podróży zajdą zmiany zapewne — mówił dalej tonem ostrym, badającym. — Henryka nagły odjazd plany pokrzyżował. Co do mnie — tu zdradził się mimowoli z swoim żalem i niezadowoleniem — nikt mię nie raczył oświecić dlaczego Alison wpadł wczoraj do mego pomieszkania jak bomba! jak warjat jaki! pakował swoje manatki z pospiechem gorączkowym i w tej chwili na kolej odjechał. Milczał jak zaklęty, a ja widząc go w tak wściekłem usposobieniu, uznałem za stosowne o nic go nie pytać i nie zbliżać się zanadto do tego furjata. Teraz atoli w interesie mego własnego powrotu, muszę cię zapytać miss Jenny, coś w tym względzie raczyła postanowić?

Joanna oczy w dół spuściła.

— W tej chwili dopiero dowiaduję się od pana, że Harry odjechał. Czy żadnej karteczki dla mnie nie zostawił?

— Ani słowa! nawet żadnego ustnego pożegnania. Tyle mi tylko rzucił na wychodnem, że pierwszym statkiem, który z Brest odjedzie, do Ameryki popłynie.

Joanna z głębi piersi westchnęła. Więcej jednak było bolu, niżeli ulgi w tem westchnieniu.

— Jakżeś z nim właściwie skończyła miss? — pytał Atkins cicho, nachylając się ku niej. — Wyglądał przerażająco gdy od ciebie powrócił!

Podniosła oczy, głos jej był drżący i niepewny.

— Zawsze pan utrzymywałeś, że jest do mnie szczerze przywiązanym, nie chciałam temu nigdy wierzyć. Byłam przekonaną, że jedyną jego namiętnością są dolary... dałam mu to do zrozumienia... czem go srodze dotknęłam.

— I zostanie na przyszłość przy tej, dla Amerykanina trzeźwego, rozumnego, najstosowniejszej namiętności — rzekł sucho Atkins. — Człowiek tego kroju co Alison, raz tylko w życiu może uledz podobnej słabostce. Powinien był zostać przy czystej krwi Amerykankach; od żadnej byłby pewno kosza nie dostał. Szef domu „Alison et Compagnie“ wszędzie będzie pożądanym i dobrze widzianym. Po co mu było szukać krwi obcej? będzie miał dość tej próby na całe życie! Nie jest to dzięki Niebu natura marzyciela, któraby długo nosiła się z miłością nieszczęśliwą w łonie. Do roku usłyszymy, że poślubił najpierwszą z naszych milionerek.

— Dałby to Bóg jak najprędzej! — szepnęła Joanna z głębi serca, powstając i opierając się o krawędź muru.

Atkins powstał także.

— Czy nie pójdziemy dalej? — zapytał. — Przyznaję, że zamczysko, zabytek średniowiecznych czasów, wygląda

interesująco, poetycznie, ale i wiatr tu pociąga nader romantycznie, a raczej romatycznie. Moje stare kości nie bardzo to lubią. Może schronimy się w dolinę, mniej tam poezji, ale cieplej za to!

Joanna znowu uśmiechnąć się musiała.

— Pokazuje się — odrzekła — że nie my same zmiennemi jesteśmy, choć nas za takie ogłosiliście. Przed chwilą narzekałeś pan na upał nieznośny, teraz na chłód za nadto wielki. Ja tu jeszcze zostanę, pan wybierałeś się do wioski najbliższej, nie zatrzymuję więc pana bynajmniej, nie chcąc go narażać na przeciągi romantyczno-romatyczne, jak je pan dowcipnie nazwałeś. Gdy będziesz powracał spotkamy się zapewne na drodze.

Z dawną stanowczością dała mu do poznania, że samą zostać pragnie, Atkins też chętnie ją zrozumiał, nudząc się niepospolicie staniem na jednem miejscu i patrzeniem na jeden krajobraz, do tego krajobraz francuzki. Tu go przecież nic zająć nie mogło, ani ludzie ani nawet sama natura.

— Zdaje mi się z tego wszystkiego — mruczał drwiąco przez zęby schodząc z pagórka — że najprędzej sam powrócę do Ameryki i będę miał w dodatku tę niezwykłą przyjemność i wewnętrzne zadowolenie, że cały olbrzymi majątek pana Forest będę musiał do Francji wyprawić. Alison wytężył nadaremnie całą swoją energję i rozum niepospolity, aby zdobyć ten majątek, a jednak go ominął, temu zaś profesorowi, który co prawda wcale się o niego nie troszczył i byłby gotów w swojem marzycielstwie ożenić się bez grosza posagu, rachując li na swoją lichą pensję profesorską — sam w ręce włazi; ani będzie wiedział jak i kiedy. Nie wątpię, że karjerę zrobi. Już teraz podziwiają jego geniusz poetyczny, coś jednak musi być w tym całym tartasie i w tem rozbijaniu się nad jego wierszami. Dopieroż gdy milion zdobędzie, a taka żona jak Jenny stanie obok niego — ta potrafi pchnąć go naprzód! Toż to by nasza mistress nieboszczka tryumfowała, to awantura w jej guście! Co by jednak powiedział pan Forest, gdyby widział, że cały jego majątek dostaje się w ręce Francuzowi i będzie odtąd służył li Francji interesom; byłby — pan Atkins zatrzymał się nagle, zamyślił chwilę, a westchnąwszy głęboko dokończył — byłby z pewnością do tego wszystkiego swoje „Amen“ dorzucił!

Joanna odetchnęła, jakby pozbyła się ciężaru nieznośnego i na dawnem miejscu usiadła. Nic się tu od roku nie zmieniło. Zielone wieńce bluszczu bujniej jeszcze i miłośniej opasywały szare ruiny, wiatr igrał z pojedynczemi opadającemi gałązkami, muskając niemi z lekka gorące czoło Joanny, Loara tak samo toczyła swe fale złociste; cudny krajobraz u nóg jej ścielił się, wszystko w okół woniało, promieniało wiosną, nadzieją.

Joannie zadumanej, zapatrzonej, mogło się zdawać, że od owego wieczora zaledwie godziny upłynęły, że ta jesień, ta zima, która jej tyle łez, tyle boleści przyniosła, podczas której tyle walk strasznych stoczyć musiała, w tak ciężką żałobę ciało i serce przyodziała, że to wszystko było strasznym snem tylko...

Nagle tak samo jak wtedy, piasek zaskrzypiał, kroki słyszeć się dały — czyżby to Atkins miał powracać? Niepodobna! przecie odszedł dopiero. To nie był zresztą krok Amerykanina, mierzony, spokojny. — Cień padł na miejsce obok niej słońcem oświetlone... Joanna zerwała się na równe nogi, cała w płomieniach, drząca, struchlała, nie zdolna nawet wydobyć z piersi ściśniętej okrzyku zdziwienia — przed nią stał Ludwik Servigny.

Nie szedł, lecz biegł pod górę; teraz jednak nie stracił oddechu, podobne ćwiczenia były obecnie zabawką dla niego, a jeżeli również po dawnemu krew mu do głowy uderzyła, to pewno nie ze zmęczenia. Chciał biedz do Joanny, zatrzymał się jednak patrząc w ziemię. Zdawało się, że z cywilnemi sukniami, które dziś wdział po raz pierwszy, wróciła też dawna nieśmiałość.

— Panie Servigny!... pan tutaj?

Wyraz bolesnego zawodu odbił się na obliczu Ludwika. Spodziewał się może innego powitania. Znikł rumieniec, bladość go zastąpiła, a oczy jakby mgłą zaszły. Joanna tymczasem przyszła trochę do siebie, chociaż jeszcze drżała na całem ciele, w czem ją dźwięk głosu zdradzał.

— Ja, to jest moi wujostwo słyszeli, że pan z pułkiem nie wracasz, doktor Buthot nam to zaręczał.

— Nie przybyłem też razem z mymi kolegami. Jestem dopiero od godziny. W domu nie zastałem nikogo, a ponieważ moje usposobienie, nie było po temu, żeby od razu wpaść w pośrodek radości mieszkańców i przygotowań świątecznych, postanowiłem użyć przechadzki i przypadkiem tu zaszedłem.

Pomieszanie jego zdradzało aż nadto kłamstwo niewinne. Usłyszał on w domu, że Joanna nie poszła z wujostwem, i dla tego zaraz po powrocie, poleciał o milę od miasta. Nie przypadek, lecz przeczucie, przywiodło go tutaj. Joanna sercem to zrozumiała, jeszcze ciemniejszym rumieńcem spłonęła, a ręką drżącą szukała na murze oparcia, czując że ziemia z pod nóg się jej usuwa.

Ludwik z pewnem wahaniem bliżej przystąpił.

— Przestraszyłem panią — rzekł głosem stłumionym — nie było moim zamiarem wracać tak prędko. Może byłbym nawet wcale tu nie wrócił, gdyby nie spotkanie z panem Alisonem...

— Z Henrykiem! — krzyknęła Joanna w przerażeniu. — Mówiliście ze sobą?

— Nie, widzieliśmy się tylko. Wczoraj wieczór wysiadł w hotelu, gdzie ja mieszkałem, spotkaliśmy się na wschodach. Przeszedł koło mnie, niemy, ponury, jakby mnie nie znał wcale. Dziś rano oddano mi bilet z wiadomością, że pan, który go zostawił, odjechał. Ten bilet mnie spowodował do tak nagłego przybycia. Podał jej bilet, na którym było tych kilka wierszy:

— Uwalniam pana od słowa mi danego, również nie żądam więcej pojedynku. Odtąd będzie nas dzielił ocean, możesz pan więc spokojnie używać owoców twego zwycięztwa. Powracaj do miasta L* i zażądaj tam wyjaśnień dokładniejszych. Za parę dni opuszczam Europę na zawsze! *Henryk Alison.*

Joanna trzymała kartkę w milczeniu, oczy jej powoli łzami zachodziły. Nie może to być nigdy obojętnem kobiecie szlachetnej, jeżeli czyje serce krwawi się z jej przyczyny, a najmniej wtedy, gdy wie dobrze, że ona była jedyną, która potrafiła w tem dumnem i zimnem sercu wzbudzić miłość namiętną.

Ludwik wpatrzył się w nią badawczo. Był smutny, rozstrojony, dręczony tajemnym niepokojem.

— Mam tutaj szukać wyjaśnienia, a nie wiem, czy raczysz mi je pani udzielić? Gdy widzieliśmy się raz ostatni, w dniu, w którym do zamku B* powróciłem, przed nami leżały zwłoki Jakóbka. Pan Alison stał wtedy między nami i trzymał rękę twoją w swej dłoni żelaznej, jakby chciał dać poznać całemu światu, że do niego wyłącznie należysz. Nie potrzebował tak być srogim i odmawiać nam ostatniego bez świadków pożegnania. Chwila była za nadto uroczystą, żeby nam mogło być co innego w myśli, jak tylko żal głęboki i słowa wspomnienia o drogim nam umarłym. Oboje traciliśmy w nim tak wiele.

Joanna potrząsła głową, zaprzeczając gwałtownie.

— Pan traciłeś jedynie poczciwego sługę. Od lat dziecięcych, smutnem przeznaczeniem mego brata, była ciężka, służebna zależność, a byłby jeszcze stokroć nieszczęśliwszym, gdyby był nie znalazł w tobie pana dobrego i łaskawego. Ja niestarałam mu się nigdy ulżyć i oszczędzić przykrości, upokorzenia, dopóki to było w mojej mocy. Za to też nic mu później dać nie mogłam, jak kawał zimnego marmuru, na grób jego!

Ludwik stał tuż obok niej, z lekka tuląc w swej dłoni jej drzącą dotąd rękę.

— Dałaś mu do grobu skarb najdroższy: łzę i uścisk siostry.

Usta Joanny zadrgały bolem gorzkim.

— Dość drogo za ten uścisk pierwszy i ostatni zapłacić musiał! Okupił go krwią z piersi swoich! Gdybym nie była się do niego zbliżyła w tej nieszczęsnej godzinie, byłby powrócił z innymi, zdrów i wesół. Mnie ratując, siebie zgubił! Wszystkim, którzy mnie kochają, sprawiam ból, lub śmierć przynoszę. Brat zginął z mojej przyczyny, Alison odjechał zrospaczony, przeklinając chwilę, w której mnie poznał! Unikaj mnie panie Servigny, ja szczęścia nikomu dać nie potrafię.

Ruchem gwałtownym naprzód się rzuciła, odwrócona od niego w dal patrząc. Łzy jak perły toczyły się zwolna po jej licach. Śmierci brata dotąd przeboleć nie mogła. Był to jakby cień złowrogi na jej drogę rzucony. W obec wspomnień dręczących ją o jego życiu, tak nędznem i ciężkiem, do którego to i tak już pełnego kielicha, ona jeszcze ze swojej strony kroplę goryczy dolała, a potem, poznawszy w nim brata niczem już tego odkupić nie mogła, tak w jej duszy czarno i smutno było, że słowa powiedziane przed chwilą, były najszczerszem wyznaniem. Ona nie śmiała śnić dla siebie o lepszej przyszłości, unosić się błogą szczęścia nadzieją w obec świeżej brata mogiły. Nawet coś z dawnego wyrazu zawitało w jej twarzy, rysy kamieniały pod wpływem ponurej, rozpaczliwej boleści.

— Joanno! — zabrzmiał głos słodki Ludwika, działający na nią magnetycznie. Wszak wtedy w zamku B* głos ten dał jej nawet zapomnieć na chwilę o walce śmiertelnej, którą jej serce staczało, w strasznej rozterce z budzącą się niepewnością, czy w nim brata nie odszuka. I teraz obróciła się na ten dźwięk, któremu oprzeć się nie mogła, spotkała jego wzrok i znikła gorycz, zniknął ból, wszystko utonęło w tych dwóch głębokich, ciemno szafirowych źrenicach, które bez słów przemawiały do niej tak czule, przykuwały do siebie tak nierozerwanie.

— I mnie zraniłaś do żywego! sprawiłaś mi ból ciężki Joanno, podczas owej nocy jesiennej, gdy cię błagałem, żebyś pozwoliła uwolnić mnie i ciebie od więzów nienawistnych. Byłem wtedy gotów dokazać nawet niepodobieństwa, byle dopiąć celu, a tyś mnie tak zimno odepchnęła słowem strasznem, jak piorun, niszczącem wszelkie moje nadzieje: „Gdyby Alison oddał mi moje słowo, nie mogę zostać twoją żoną nigdy! przenigdy! To słowo stoi dotąd jak widmo złowrogie między nami. Ono mnie odpychało od ciebie aż do tej chwili. Czy zechcesz mi teraz rozwiązać tę straszną zagadkę?

Joanna milczała jeszcze przez krótką chwilę, wreszcie zaczęła mówić głosem stłumionym.

— Znalazłam ślad mojego brata, dowiedziałam się, że opiekował się nim proboszcz Dubois, a usłyszawszy to nazwisko z ust twoich, jako twego ojca przybranego, który cię od lat dziecinnych wychowal...

— Przez miłosierdzie Boże! Joanno! nie przypuszczałaś przecie, że jestem...

— Nie łaj mię Ludwiku za to przypuszczenie. O! męki piekielne wycierpiałam w tej walce z sercem własnem! Ta pomyłka nieszczęsna o mało mi zmysłów nie odebrała! o mało mię nie zabiła!

Dumne usta Jenny Forest, zdobyły się wreszcie na szczere wyznanie. Oczy jej jeszcze w łzie ostatniej pływały, zimny blask zorzy północnej znikł w nich jednak na zawsze, wszelka duma i nieugiętość gdzieś się także podziały. Lśniły jedynie słodyczą i łagodnością, czem wczoraj złamały upor żelazny Alisona i wyprosiły u niego ofiarę największą! oddanie ukochanej w objęcia rywala. To co wczoraj na chwilę zabłysło w tych cudownych źrenicach, jako niema i pokorna prośba, dziś jaśniało i promieniało całem bogactwem uczuć dziewiczych. Wszak patrzyła na człowieka, który pierwszy zbudził jej serce, dotąd zimne i dla wszystkich nieprzystępne.

On pojął tę istotę! tak silnie przykuwającą do siebie, tak namiętnie kochaną i zdolną mimo słów zwątpienia przed chwilą wypowiedzianych, zapełnić szczęście w całej pełni wybranemu jej serca gdy mu się odda na zawsze, gdy przed nim otworzy skarb swej wzniosłej duszy.

Jakże teraz inaczej wszystko poszło, niżeli przy pierwszem oświadczeniu się Alisona. Nie było wstępu żadnego, pytań i odpowiedzi. Nie było układów zim-

nych i konwencionalnych, jakby szło o pierwszy lepszy interes, lecz była rzecz najważniejsza, której tym pierwszym zaręczonym brakowało. Dziewiczy rumieniec na licu narzeczonej, łza w jej oku, słodki uśmiech na ustach. Tym razem nie wyrywała się z objęć ukochanego, który ją namiętnie do piersi przyciskał, przeciwnie, drżąc jak spłoszona ptaszyna, tuliła prześliczną główkę na jego męzkiem łonie, czując, że nigdzie jej lepiej i bezpieczniej być nie może, że ten „Marzyciel“ potrafi tak samo ukochać ją ogniście, jak potrafił zamieniwszy pióro na broń zostać prawdziwym bohaterem, uwielbianym za swoje męstwo do szaleństwa niemal posunięte.

W krzakach u stóp ruin nagle zaszeleściało, pan Atkins głowę nieznacznie wychylił. I tym razem podsłuchiwał młodą parę, nie przeszkodził im jednak, nie przerwał błogiej chwili składaniem swych gratulacyj. Znikł szybko w zaroślach, a oblicze jego chmurne i skrzywione, wyrażało raczej wszystko inne, tylko nie szczęścia życzenia.

— Rzecz dziwna! nawet miłość inaczej się tu wcale tłumaczy niżeli u nas! Jenny była dla nas straconą, skoro wstąpiła na ziemię rodzinną. To przecież oburzające! Wszystkiemu winna ta mrucząca Loara! to powietrze francuzkie!

Rzucił okiem piorunującem na rzekę i pięścią jej pogroził. Ona jednak płynęła dalej spokojnie, jakby sobie nic z jego gniewu nie robiła, a fale jej szeptały z cicha, o nadziei, o szczęściu, o spokoju, który do dwóch serc młodych zawitał. Po tylu próbach ciężkich, po tylu walkach śmiertelnych, mrozem rozpaczy i zwątpienia ich serce ścinającym i dla nich rozpoczynała się wiecznie młoda, wiecznie kwitnąca, wiosna miłości!

KONIEC.

ŻÓŁTA RÓŻA.

NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

(C. d.) Po południu Beyraud wszedł do mego pokoju.

— Czy jesteś już w stanie poczytalnym? — zapytał.

— Cóż się stało? — odrzuciłem.

— Więc zapomniałeś noc przeszłą?

— Nie, bo właśnie o niej myślałem gdyś wchodził. Ta czarodziejka ma najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widziałem.

— Nie idzie tu wcale o jej oczy, tylko o policzek, któryś zaaplikował Merville'owi.

Parsknąłem śmiechem.

— Nie ma tu wcale powodu do śmiechu. Policzek zostanie zawsze policzkiem, chociaż dany był po pijanemu. Pojmujesz, że Merville mimo całej przyjaźni, jaką miał dla ciebie, nie może go schować do kieszeni i że pojedynek jest nieunikniony. Przychodzę w jego imieniu. Możesz wierzyć, że mi ta misja jest nader niemiłą, nie mogłem mu jednak odmówić. W każdym innym wypadku, starałbym się sprawę załagodzić, ale w tym razie zgoda jest niemożliwą. Nie wiedziałem, żeś taki kłótliwy, gdy sobie podpijesz! Co za gwałtowność! Biednemu Leonowi cała twarz spuchła.

Roześmiałem się znowu i opowiedziałem awanturę tak, jak się odbyła, prostując dziwną hallucynację, powstałą w umyśle Merville'a, wskutek nadto silnej dozy trunków gorących. Poszliśmy razem do niego, licząc na pewno, że i on podzieli naszą wesołość, mimo twarzy cokolwiek jeszcze zaognionej. Siedział w wielkim fotelu przed kominkiem, uderzając wściekle w ognisko haczkiem żelaznym, jakby próbował na polanach pchnięć nadzwyczajnych, któremi mię miał uraczyć. Szkatułka z pistoletami, tudzież dwie szpady leżały obok niego, zdradzając krwiożercze zamiary co do mojej osoby, które potwierdził jeszcze wzrok dziki i ponury, jakim objął mię od progu.

— Dla czego mi pan nie przysłałeś sekundanta? — sucho zapytał.

Starałem się wytłumaczyć mu jego pomyłkę... nie dopuścił mnie do słowa... Beyraud chciał również przemówić, i jemu milczenie nakazał.

— Chcecie wyperswadować, że mi się śniło — krzyczał z zaciekłością lwa ranionego. — Czy to ja dziecko? Były dwie kobiety w loży — prawda; jednej z nich ściągnąłem maskę z twarzy — także prawda. Wszak pamięć mię nie zawodzi? Co się zaś tyczy uderzenia, panu Dramond go zawdzięczam i on mi za nie odpowie, chociaż chciałby teraz zrzucić odpowiedzialność na domino z żółtą różą. Komedja! Czy to my się nie znamy na policzkach dłonią kobiecą wymierzonych? Dzwonią, ale nie bolą; a ten o mało mi oka nie wybił. Tylko mężczyzna tak bić potrafi, a ponieważ w loży oprócz mnie był jeden tylko pan Dramond, więc on mnie tak uczęstował. Wszak to jasne jak słońce. Powiecie mi może, żeśmy za długo obiadowali, za dużo pili i że Dramond jest moim przyjacielem od lat dziecięcych. Tem gorzej! Podobnej obrazy nie wytłumaczy upicie, a w obec niej zrywają się na zawsze związki przyjaźni. Mogę tylko w krwi obmyć moją hańbę! Rzecz skończona. Szkoda czasu tracić. Oto broń do wyboru; po drodze weźmiemy którego ze znajomych i co koń wyskoczy, pojedziemy do lasku Bulońskiego.

Jeszcze z pół godziny próbowaliśmy przemówić do jego rozsądku; wreszcie i mnie brakło cierpliwości.

— A więc dobrze, jedziemy! Tej nocy skarcono twoją zuchwałość, ja zaś jutro wyleczę cię z twego uporu i szaleństwa. Chcesz mnie zrobić wydawcą odpowiedzialnym potężnego policzka, który ci przylepiono, przyjmuję za niego solidarność, boś na niego zasłużył najzupełniej! Chodź we krwi go obmyć!

Nazajutrz odbył się jak wiesz pojedynek, wynik jego także ci wiadomy. Merville nosi dotąd rękę na temblaku, i ta rana dopiero wytrzeźwiła go zupełnie. Teraz jest mocno przekonanym, że jeżeli pchnięcie szpadą, które byłem zmuszony dać mu, było rodzaju męzkiego, policzek natomiast był autentycznie rodzaju żeńskiego. Zostaliśmy więc nadal przyjaciółmi, zarzekł się tylko, że więcej ze mną na redutę nie pójdzie.

— A domino z żółtą różą? — zapytał Teissier, który istotnie zaczął się interesować opowiadaniem przyjaciela, i zapomniał na chwilę o swoich zgryzotach przedślubnych.

— Nie widziałem jej więcej — odrzekł Dramond z westchnieniem — mimo iż przez trzy tygodnie z rzędu, zwidzałem wszystkie miejsca publiczne, w nadziei iż ją odszukam.

— Byłeś w niej zakochany?

— Zakochany? Tak, o ile można nim być w kobiecie, którą poznało się przelotnie na balu Opery.

— Dotąd więc nie wiesz, kto ona była?

— Baletnica, lub aktorka, mogłem przypuścić, gdyby nie świeżość olśniewająca jej cudnych jagód. Blansz, ani róż, nie splamił z pewnością tej różyczki.

— Aniołek czystej wody! — zaszydził Hektor.

— Z podłamanemi nieco skrzydełkami niestety, sądząc z pozorów. Dwie kobiety same na balu Opery, już to samo daje dużo do myślenia. Lękam się, czy ten aniołek nie jest po prostu, jedną z tych cudnych istot, które nie mając innego majątku prócz młodości i urody, spekulują tym kapitałem na wielkiej giełdzie zepsucia moralnego. Tam także idzie o to kto da więcej za akcje, które dziś wartości niesłychanej, jutro mogą spaść na zero. Smutno by to było. Taka młoda i piękna! Ale Paryż, to otchłań bezdenna, paszcza wiecznie krwawiąca się ofiarami upadłej cnoty i niewinności, a nigdy nienasycona. Czemkolwiek jest, czy młodą mężateczką szukającą wrażeń, czy loretką in spe szukającą protektora, nie można sobie wyobrazić istoty ponętniejszej. Stoi mi ciągle przed oczyma, gdym ją ujrzał bez maski. Gdybym tak umiał malować! Wyobraź sobie najczystszy typ andaluski. Włosy jak złoto roztopione, oczy ciemno fiołkowe z połyskiem djamentowym oczu czarnych, a z głębią oczów niebieskich; czoło białe, dziewicze, jak śnieg alpejski, którego czystości, żadne dotknięcie stopy żyjącej nie sprofanowało; nosek kształtny, o nozdrzach lekko rozwartych, zapowiadających temperament namiętny i ognisty, a tuż pod nim usteczka dziecka niewinnego, uśmiechnięte, wesołe, jakby ich jeszcze cały świat nie obchodził. Uosobistnienie wiosny, a siła i energja lwicy rozsrożonej! Czarująca!

— Niechcący — przerwał Teissier — skreśliłeś portret Melanji. Ona też nie raz wygląda jak lwica, a wtedy muszę skakać na dwóch łapkach.

— W takim razie, można ci powinszować. Twoja narzeczona musi być prześliczna! Życzę ci jednak, by to podobieństwo ograniczyło się na jej fizyczności.

— Może niesłusznie posądzasz, twoją nieznajomę. A gdyby to była kobieta cnotliwa? Wszak jej obejście z Mervill'em, dobrze o niej świadczy.

— Naiwny! — zaśmiał się Françis. — Czyż dobrze wymierzony policzek, jest dowodem cnoty i niewinności?

Rozmowę naszych przyjaciół, przerwał odgłos dzwonu, który wzywał do obiadu. U pana Simart, jadło się po gospodarsku, o pierwszej godzinie. Zeszli razem na dół, do obszernej sali jadalnej, gdzie już zastali pana domu, któremu Dramond został przedstawiony jako drużba i przyjaciel Hektora. Przyszły teść Hektora Teissier, był to sobie człeczyna niski, grubo-płaski, o fizjonomji nader poczciwej, choć nie zbyt inteligentnej, ozdobionej nosem potężnym, na końcu mocno czerwonym, który zdradzał, iż p. Simart z buteleczką żył w najlepszej harmonji, i lubiał z często dawać jej buzi, jak to mówią. Strój, w jakim przyjął swoich gości, składał się cały z nankinu gorąco-żółtego, który kłócił się z ogorzałemi policzkami i nosem burakowego koloru. Widać było, że zerwał dawno wszelkie stosunki z modami, a dbał jedynie o wygodę i swobodę prawdziwie wiejską. Był to kupiec zbogacony, który zaczynał prawie z niczem, a dziś, handel porzuciwszy, używał majątku wśród wiejskich rozkoszy. Moralnie posiadał on wszystkie wady, a i niektóre przymioty, klasy czysto mieszczańskiej. Napracowawszy się dosyć przez życie całe, teraz pragnął przedewszystkiem spokoju, niczem nie zamąconego. Dla tego gotów był zgodzić się z każdym rządem, płacić zawsze podatki i kontrybucje. Jak wszyscy ludzie małej wartości i nieosobliwszej inteligencji, był jak paw nadęty i dbał wielce o swoje prerogatywy obywatelskie. Jako wyborca, trzymał się zdania swojej wyroczni w kwestjach polityki „National“, a jako sędzia przysięgły, robił naprzód układ filantropijny ze swojem sumieniem, żeby nigdy żadnego zbrodniarza nie potępiało. Mógł by mu się przyśnić potem, i spokój nocny zakłócić. Służąc w Gwardji, zaczął od kaprala, a skończył karjerę na stopniu pod-oficera. Gdy kopał swoje grządki, lubiał przyrównywać się do Cyncynata, a widok wstążeczki „Legji“ wywoływał mu na usta uśmiech ironiczno-kwaśny, bo mu się zdawało, że za jego prace industryalne, któremi li siebie zbogacił i wielkie trudy podjęte, gdy służył w Gwardji, z prawa i z urzędu należał mu się krzyż Legji. Udawał jednak zupełną pod tym względem obojętność. „Ot! zabaweczka!“ — rad powtarzał — „dziś gdy Krzyż dostaje kto chce i kto nie chce, prawdziwem jest odznaczeniem nie mieć go wcale.“ — Aby wykończyć ostatecznie kontury rzucone na prędce o charakterze pana Simart, dodajmy, że kładł się spać wcześnie, a wstawał późno, nienawidził arystokracji, i wygadywał na wszystkich utytułowanych, jednak gdy spotkał z nich którego, zapewne przez przypomnienie lady sklepowej, kłaniał mu się jak mógł najniżej. Księży nazywał klechami, ludu domoralizatorami, lecz z proboszczem swoim, chętnie ciął Preferansa. W kole poufnem, płakał nad narodami uciemiężonemi, przeklinał tyranów, skoro jednak ujrzał zdaleka urzędnika, wolnomyślność chował do kieszeni. Przysłowie francuzkie mówi, że „ostateczności stykają się“. Tak się stało i z panem Simart. Człowiek ten spokojny, apatyczny, w jednej ze swoich podróży, poznał i poślubił Hiszpankę piękną, ognistą i energiczną. Poczciwiec, złożył bez walki berło domowe, i tak mu było z tem wygodnie, tak przyzwyczaił się słuchać ślepo żony, że owdowiawszy pozwolił tak samo owładnąć sobą córce, która zaledwie wtedy z lat dziecięcych wychodziła. Próbował czasem krótkiej niesubordynacji, próby jednak kończyły się zwykle jeszcze większą uległością, dla wszystkich zachceń i kaprysów choćby najdzikszych panny Melanji.

— Cóż mówisz na mego teścia przyszłego? — zapytał Teissier przyjaciela, podczas gdy p. Simart mówił z innym gościem, człowiekiem lat czterdziestu, długim, suchym, i łysym potężnie.

— Pyszny okaz tatuńcia najpoczciwszego! Ten ci pewno wody nie zamąci.

— Tego i ja się spodziewam. Szkoda że córka co do strony moralnej, w niego się nie wdała.

Od przyległych pokojów drzwi się otworzyły i weszły trzy kobiety. Wzrok Françis'a uciekł od pierwszej, gdyż była stara i brzydka, trochę dłużej spoczął na drugiej, blondynce wcale przystojnej, w wieku lat dwudziestu pięciu, wreszcie został przykuty do postaci trzeciej, która zasługiwałaby zawsze na tę wyłączną uwagę, gdyby nawet nie była panną młodą, co łatwo można się było domyśleć. Była to istota tak świeża, wiotka, czarująca, a przytem miała w sobie coś tak lubego, tak lata dziecinne przypominającego, że mimo postaci wyniosłej, i sukni z powłoką majestatyczną, brała ochota zapytać, co też jej lalka porabia. Dziwna sprzeczność panowała w jej fizjonomji. Usteczka pełne, różowe, z dołeczkami po bokach, uśmiechały się dziecięco, radośnie, a źrenice ciemno fioletowe, miały taką głębię, tyle ognia w sobie, że mało który z panów wytrzymał by ich blask djamentowy. W tem ślicznem dziecku figlarnem, zalotnem, pełnem gracji, odczuwało się kobietę namiętną i energiczną, którą drażnić byłoby nader niebezpiecznie. Ubrana w śliczną jasno-różową sukienkę, tak stosowną do jej krasy i młodości, frunęła wzdłuż sali jak jaskółka, gdy muska skrzydełkiem wód źwierciadła; lekkiem skinieniem główki powitała wszystkich panów razem; na narzeczonego i nieznajomego, prawie uwagi nie zwróciła, mimo iż p. Teissier dobitnie wymówił przy przedstawieniu tegoż „mój przyjaciel i drużba, p. Dramond", i podbiegła do wazy z zupą. Z szybkością błyskawicy zerwała wieko, z pod którego dobył się obłok wonnej pary, drugą uderzyła nerwowo o dzwonek przed nią stojący. a gdy odgłos tegoż sprowadził Mikołaja, jeszcze piękniej, bo we frak i w niciane rękawiczki przybranego, i tem śmieszniej wyglądającego, zaczęła z komiczną powagą gospodyni domu rozdawać zupę i talerze napełnione, których stos przed nią zastawiono, podawała po koleji to niezgrabnemu pseudo-kamerdynerowi, to panu Teissier, który także pośpieszył pomagać jej w tem urzędowaniu.

Wszyscy już usiedli; jeden Dramond stał jak wryty, z oczyma w Melanję utkwionemi, z na pół otwartemi ustami.

— Proszę usiąść obok mojej córki — powtarzał gospodarz uporczywie, próżne krzesło mu pokazując; młodzieniec nie ruszył się jednak z miejsca, tylko machinalnie i milcząco głowę skłonił.

— Choćbyś pan był już po obiedzie — nalegał dalej gościnny gospodarz — na wsi, na świeżem powietrzu, nie zaszkodzi obiadek powtórzyć.

P. Simart. będąc sam trochę przygłuchym, posądzał o tępy słuch każdego; mówił też coraz głośniej. Françis drgnął, uśmiechnął się z roztargnieniem. pozostał jednak niemym i nieruchomym. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, i Melanja, skończywszy rozdawanie zupy, objęła go wzrokiem zdziwionym. Widocznem było, że nagłe roztargnienie młodego człowieka na jej widok, nie sprawia jej przyjemności, ani głębszego wrażenia, na nią nie wywiera; twarzyczka jej wyrażała w tej chwili ciekawość trochę drwiącą, właściwą młodym, wesołym dziewczynkom.

(C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Z krainy Faraonów. Wypełniły się wyroki losów!.. Wielki Khedyw Egiptu, ten sam, który niegdyś zadziwiał Europę przepychem na olbrzymim bazarze ludów w stolicy zachodu; ten sam, który ugaszczał u siebie reprezentantów całego cywilizowanego świata w Aleksandryi i Kairze — przestał panować...

Gdyby jeszcze nad Nilem istniał zwyczaj uwieczniania zasług i czynów monarchów dziwnemi hieroglifami na obeliskach i niebotycznych piramidach, musianoby wiele budujących i widzenia godnych rzeczy zamieścić w takim nekrologu dla Faraona Izmaila paszy, który nowożytną kulturę pragnął zaszczepić tam, gdzie ona od najdawniejszych czasów miała swoją tradycję; który na eksperymentach europejskiego postępu zbankrutował i jak niepyszny abdykować musiał.

Szesnaście i pół roku panował on nad świętą ziemią Izydy i Ozyrysa. Ów dumny władca, noszący do niedawna jeszcze tytuł „zwierzchnika Nubji i Sudanu, Kordofanu i Darfuru", zadowalać się dzisiaj musi emeryturą w rodzaju listy cywilnej, którą mu Anglja i Francja zapewniły.

Trzeba było spakować, chcąc nie chcąc kufry i skrzynie i pożegnać się z krajem, w którym tyle miljonów wsiąkło i spłynęło, jak piana europejskiego szampana, rozlanego na mahometańską ziemię.

Zdetronizowany Khedyw miał, pomimo wszystkich wad i stron ujemnych — swoje zasługi.

Gdyby nie wschodnie marnotrawstwo, gdyby nie lekceważenie grosza, do czego jeszcze przyczyniły się zaszczepione z paryzkich mętów pierwiastki zepsucia, gdyby nie kosztowne życie i budżet pałacowy, przeładowany pozycjami zbytku, gdyby wreszcie nie kilka tego rodzaju „gdyby", Izmail pasza mógłby był wydźwignąć krainę Faraonów z wiekowej pleśni i ruiny.

On pierwszy zaczął zakładać cukrownie, doprowadził budowę kanału Suezkiego do skutku, chciał ożywić przemysł krajowy i nie stronił od europejskiej cywilizacji.

Nie wiadomo jeszcze, gdzie Izmail-pasza postanowi przejadać swoją dożywotnią pensję, która nie wice-królewską, ale w całem znaczeniu królewską nazwać się może. Miesięcznie około pół miljona rubli przeznaczono biednemu wicekrólowi Egiptu, strąconemu z tronu potomkowi Faraonów.

Powiadają, że zamierza zamieszkać w Konstantynopolu, gdzie na jego przyjęcie czekają otworem przepysznie urządzone pałace — ale na jeden Konstantynopol dwóch królów zadużo, więc kiedyś zapewne Izmail pogodzi się z tym samym zachodem, który mu taki despekt wyrządził i zamieszka zapewne w londyńskim Westem, albo w pobliżu paryzkich bulwarów.

Na tronie zasiadł najstarszy potomek Izmaila paszy, pierwszy owoc miłości z jakąś serajową faworytą, o której nazwisko ani współczesność, ani potomność nie zapytała nawet ciekawie.

Teraźniejszy wicekról egipski liczy obecnie 27 lat wieku.

Pomimo swoich dwudziestu siedmiu lat, jego królewska wysokość szóstą wiosnę przeżył już w rozkoszach małżeńskiego pożycia. Gwiazdą jego haremu. w którym wschodni zbytek połączył z europejskim komfortem, w którym nawet na fortepianie grywają piękne odaliski, w którym cała konstelacja wdzięcznych hurys ziemskich płonie za złotemi kratami, najpiękniejszą z nich miała być rozkoszna księżna Eminek.

Ona to głównie zajęła serce Tewfika i jego względy, a nawet wierność pozyskała. Dwóch chłopaczków i dziewczynka uromaiciły dzieje tego sześcioletniego małżeństwa.

W Londynie dnia 1. czerwca miał kaznodzieja anglikański kazanie, które zakończył charakterystycznie: „Okropne czasy teraz o Boże! Ile to ludzi żyje w niedostatku, nie mając odzieży, ani kawałka chleba dla siebie i dzieci, a nie może nigdzie dostać pracy. A mówią nam że winny... żyje... stary żyd i mieszka tu w Londynie. (Disraeli). Zabij go o Boże! Bo jeźli ja go zabiję, to mnie powieszą, a gdy go Ty Boże zabijesz, to nikt cię za to karać nie będzie."

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzkich l. 4.